

Sprawozdania:

Pirożyński o. Marian, redemptorysta, *Bernard Łubieński*, Wrocław 1946, 8°, str. 283+5 nlb. nakł. OO. Redemptorystów.

Jest wielką zasługą o. Pirożyńskiego, że zapobiegliwością swoją zebrał tak wiele szczegółów, dotyczących osoby o. B. Łubieńskiego. Pietyzm dla brata zakonnego nie wyszedł jednak na dobre ani o. Ł., ani życiorysowi. Na tej samej płaszczyźnie podaje ciekawostki rodzinne Łubieńskich czy innych rodów, nie wyłączając Kobylińskich i szczegóły wprost zwrotne w życiu o. Ł. Tytuły rozdziałów wskazywałyby na plan systematycznego ujęcia, tymczasem trzyma się chronologii, pisząc równocześnie i o zakonie w Polsce i o życiu o. Ł. i o jego pracach misyjnych. Wszystko to się pląta, zatracają lata, a wybijają miesiące. Nie ustawia zasług w hierarchii właściwej, np. kierownictwo zakonu, czy chodzi o usamodzielnianie redemptorystów naszych od prowincji zagranicznych, czy studia teologiczne, czy budowę Podgórze lub Maksymówki. Projekty miał o. Ł. różne i to bardzo wcześnie, ale co zrobił sam dla ich realizacji, a co zrobili inni, trzeba uwzględniać, bo w przeciwnym razie zapisuje się na konto wnioskodawcy cały trud wszystkich osób. O. Ł. projektuje stworzenie studium teologicznego w zakonie już wtedy, kiedy ono było nie do przeprowadzenia. Dużo też o. P. pisze o «jarmarcznych» misjach jezuickich, przeciwstawiając im alfonsjańskie, co mu nie przeszkadza zachwycać się powodzeniem misji redemptorystów, gdy było 30.000 słuchaczy, gdy jeden misjonarz mówił kazanie w kościele, a drugi równocześnie na cmentarzu, gdy było 10 tys. (Płock) czy 15 tys. (Kielce) do Sakramentu Pokuty. Czy te nie były «jarmarczne», czy nie musieli słuchać spowiedzi inni księża, a nie tylko redemptoryści? To była konieczność życiowa i powodzenie trzeba odpowiednio traktować, tak jak było koniecznością i z misjami jezuickimi. Nie wydaje mi się też właściwym lekceważące traktowanie misjonarzy diecezjalnych w Poznańskim. Nie znam tej sprawy, więc może ktoś nazwie to nawet eufemizmem a nie lekceważeniem.

Życiorysowi brak całego tła historycznego. Nie ma też nic wspólnego z historią rozdział zatytułowany «Gniazdo rodzinne». Jeśli już wymieniało się biskupów, zakonnic, to trzeba było wspomnieć i o masonach, mianowicie braciach dziadka o. Bernarda: Franciszku, Piotrze i Janie. «Szampańskość» Łubieńskich jest eufemizmem. Nie daje też zorientowania ani w arystokracji czy ziemiaństwie, wśród której działał o. Ł., ani wśród inteligencji poza paru napiętnowaniami «liberalizmu», tak samo niema właściwego ustosunkowania się do ruchu ks. Stojałowskiego.

Czy to potrzebne? O. Ł. jest tak charakterystyczną postacią w naszym życiu i takim reprezentantem szlachcica czy królewiatka z dawnej Polski, że tło i analiza jego osoby zasługują na szczegółowsze potraktowanie. Takim pozostał do końca. Weźmy rekolekcje dla biskupów. Ileż w nich szlachcica, który piętnuje publicznie «praktyki» senatorów czy króla, jego «na kolana» to także coś z komendy pod Samosierzą czy dawniej, kiedy podkomendni szli ślepo jak szaleni w wir walki na rozkaz dowódcy, rozkaz, który wykluczał wahanie a porywał bezwładnie. Dlatego też o. Ł. czuł się najlepiej na ambonie, wyżywał się na niej sejmikowo, nie kochał się w pro-

wadzeniu dusz, nie sprawował też w zakonie władzy. Roboty, które wymagały ciągłości, łączenia szczegółów, pojedynczo opracowanych, w jedną całość, spoczywały na innych barkach. W traktowaniu ludzi przez niego jest też pewna bezwzględność, obcesowość, bezapelacyjność, jak dziedzic czy któryś z królewiat (domagania się spowiedzi).

Można też mieć zastrzeżenia co do sposobu, w jaki autor traktuje powodzenie misji. O. Ł. jest niewątpliwie człowiekiem, mającym dar oddziaływania na masy. Ten dar zużywają ludzie w różny sposób. Tego pokroju był Daszyński, ks. Stojałowski. Znałem dwu księży obdarzonych tym darem: jeden, którego ani wewnętrzne ani zewnętrzne życie nie było budujące, mówił kazania w sposób, który wywoływał ogólny płacz. W kazaniu nie było żadnych sztuczek; drugi potrafił tak związać ze sobą parafian jako wikary, że proboszcz musiał ustąpić, a gdy poszedł zawiązać na herezję, cała parafia dałaby się za niego porąbać, a gdy ruski proboszcz nie chciał umieścić w cerkwi obrazu św. Teresy od Dzieciątka Jezus, do czego on ich namówił, będąc księdzem ob. łącz., to postawa ich wobec proboszcza była tak zdecydowana, że musiał ustąpić i umieścić w cerkwi żądany obraz, tak jak ich do tego ten wikary zachęcił. Niewątpliwie jest mowa o łasce, o znaczeniu modlitwy zakonów kontemplacyjnych dla prowadzenia misji, ale daleko bardziej wybija się powodzenie misji z osobą o. Ł. A historia misji tarnopolskiej powinna być nauką, jak te rzeczy traktować, bo i proboszczem był wychowanek — penitent o. Ł. i kościół był pod wezwaniem M. B. N. P. Byłem na tej misji i widziałem te przeraźliwe pustki w kościele. Czytając opisy misji lazarystów w XVIII w. widzi się podobne powodzenie, gdy chodzi o pierwsze, następne w tej samej parafii za lat dziesięć przez nich odprawione już słabiej wypadają. Jesliby autor znał opisy misji innych zakonów, to tak samo widziałyby tę ogromną rozpiętość powodzenia.

Autor nie oddaje o. Ł. dobrej przysługi, ubierając go w za wielkie szaty. Przy całym szacunku dla o. Ł. uważam jednak za przesadę twierdzenie autora, że o. Ł. dorównał św. Bernardowi z Clairvaux (str. 17), że «skala możliwości apostolskich jest ogromnie rozpięta» u o. Ł. (str. 145), a nawet o jego działalności pisarskiej pisze w tonie różowym. Działalność zaś pisarska to przeróbki z dzieł i to przeróbki w stanie, w jakim widzimy je, nie wiadomo, do jakiego stopnia są dziełem o. Ł. a do jakiego «szlifujących» je braci zakonnych. Nie ma zaś rzeczy napisanych samodzielnie, dotyczących potrzeb religijnych, czy ziemianstwa z arystokracją, czy kleru, czy zakonnic.

To są zastrzeżenia co do życiorysu, nie co do o. Ł. O. Ł. dokonał bardzo wiele dzięki swej męskości, bezwzględnej szczerości w patrzeniu na siebie i niesłuchanym męstwem w przyjmowaniu poddawanych przez natchnienie Boże stwierdzeń w jego życiu, dzięki czemu chwytą w lot z całą pewnością siebie oszałamiające osądy siebie. Takie też cechy miała jego modlitwa, do której ogromną przywiązuje wagę, oraz przywiązanie do zakonu, którego przepisy usiłuje wypełnić z całą skrupulatnością. Oto jego droga: Tuż po maturze w 18 r. życia oświadcza, że nie chce «zostać pasibrzuchem w klasztorze», lecz księdzem świeckim (str. 32), ale tegoż roku w parę tygodni czuje głos, który go «nagli aby wstąpił do zakonu i został świętym» (str. 34). Po rekolekcjach u Jezuitów przed decyzją zapytany przez superiora, jaka konkluzja z rekolekcji, odpowiedział. «Taka, że mnie diabli porwą, jeśli nie zostaną zakonnikami» (str. 36). W zakonie różne były możliwości. Rodzina chciała go wyciągnąć, nie wyłączając stryja biskupa, dość krytyczną była ocena jego osoby przez zakon (str. 59), skarży się na przełożonego, do prowincjała wysyła różne projekty, które idą do kosza (str. 93), kwestionuje jego bogatą korespondencję (str. 98), jego liczne obiady, na które był proszony w Rzymie (str. 153). Niema śladu, by myślał choćby przez chwilę o wystąpieniu. Za to w lot chwycił głos w 1890 r., gdy odbywał pielgrzymkę celem uzyskania cudownego uzdrowienia swego kalectwa, że «Bóg tak chce, abym tak do śmierci zostałem» (str. 115), a we wspomnieniach pisze: «Taka snąc była wola Boża, ażebym miał nogi spętane, żeby mię do piekła nie poniosły ... kalectwo zapewniło mi wytrwanie w Zgromadzeniu i przez to — koronę niegdyś w niebie.

Pełen życia i porywu biegłem, pędziłem i kto wie, gdzieby mnie moja wybujała fantazja zapędziła — pewnie do piekła. A tu nastąpiło zupełne ubezwładnienie» — (str. 115). W Rzymie 1889 r. pisze: «Tyle sobie uroiłem z tego tu pobytu, ale widzę że et hoc vanitas... Ale może to i największa łaska, że tak mi Pan Bóg przed wyjazdem stąd pokazuje, że jestem niczym, że nic nie potrafię i że na nic nie mam się porywać — chciałbym się schować, żeby o mnie nikt nic nie wiedział i nikt nie słyszał» (str. 153).

W tych stwierdzeniach chodziło o kalectwo, coś co przypominało się boleśnie na każdym kroku. On je błogosławi, jako drogę do nieba. Umie też stwierdzać braki teologicznego wykształcenia. Choćby odnośne określenie uznać za przesadne, gdy olśniony konferencjami o. Bothego, robi z nich za wiedzą autora wyciągi: «Czuję że się pawimi piórami stroję. Ale cóż innego mogę poradzić ja głupi?» (str. 151).

Rzeczywiście niejedno mu groziło, co np. widać w sposobie krzątania się koło «Unio apostolica» (str. 82) albo z drogi tych dziesięciu księży z diecezji płockiej i lubelskiej, którzy po odbyciu rekolekcji pod jego kierownictwem weszli na drogę mariawityzmu z kultem MBNP. Tutaj coś szwankowało. Wiele było tych różnych możliwości, żadna nie stała się faktem, faktem stał się człowiek, wymagający od siebie bardzo wiele, który jak ogień płonący przeszedł przez Polskę, zostawił nieśmiertelny wzór gorliwości kapłańskiej, który nie pozbywszy się swych wartości indywidualnych umiał podporządkować się władzy, nie szukać swego ja. Wypracował to w sobie przez modlitwę i sprawiedliwe ocenienie siebie.

X. Teofil Długosz